

## WYDZIAŁ III

### Krajowi

# Jan Maria Kisyński\*

## 24 VI 1933–18 XI 2022<sup>1</sup>

Kilka miesięcy temu, gdy zmarł p. prof. Kazimierz Goebel, lubelski matematyk Tomasz Komorowski powiedział, że w naszym mieście skończyła się pewna epoka. To bardzo celne spostrzeżenie. Ale jeśli tak, to co powie dzieć dziś, gdy odszedł p. prof. Kisyński?

Określenie „koniec epoki” jest zapewne powodem do zadumy, skłania do przyjrzenia się ponownie osiągnięciom gigantów, którzy jeszcze wczoraj żyli pośród nas. Ale nie sprawia, że po policzku płynie nam łza.

Bezspornie, w przypadku Profesora Kisyńskiego, mieliśmy do czynienia z naukowcem wielkim, przerastającym swym umysłem nas wszystkich razem wziętych. Głębokim analitykiem tworzącym dzieła sztuki, które dziś zadamowały się w specjalistycznych podręcznikach z różnorodnych dyscyplin matematyki: teorii miary, analizy harmonicznej, teorii półgrup operatorów i analizy funkcjonalnej, znanych i czytanych na całym świecie – wymienić tu trzeba chociażby fundamentalną monografię Kosaku Yosidy.

Nie przesłyszeli się Państwo: powiedziałem „dzieła sztuki”. W rękach Profesora Kisyńskiego matematyczna materia, sama w sobie oporna i matowa, powoli odsłaniała ukrytą fakturę, wewnętrzne piękno, i mieniła się kolorami jaspisu. W tym sensie praca wybitnego matematyka nie różni się od pracy wybitnego rzeźbiarza, malarza czy kompozytora.

---

\* Zgodnie z życzeniem Autora, tekst drukujemy bez opracowania redakcyjnego.

<sup>1</sup> Poniższy tekst jest zapisem wystąpienia Adama Bobrowskiego, ucznia Profesora Kisyńskiego, w trakcie uroczystego pożegnania Zmarłego, które miało miejsce 25 XI 2022 w Politechnice Lubelskiej.

Jako najmłodszy i niestety ostatni uczeń miałem przywilej przyglądać się temu procesowi w kilku przypadkach. Na przykład na początku lat 90. ubiegłego wieku Pan Profesor zwrócił moją uwagę na prace niemieckiego matematyka Wolfganga Arendta, które rzucały zupełnie nowe światło na stare, znane od pół wieku, a doniosłe twierdzenie Hille'a-Yosidy. Wspomniane twierdzenie, nawiązujące do idei Cauchy'ego, Peano, Hilberta i Hadamarda, jest kamieniem węgielnym teorii tzw. półgrup operatorów, która pozwala rozwiązywać złożone odpowiedniki równań różniczkowych w przestrzeniach Banacha. Dodać należy, że nie jest to tylko teoria abstrakcyjna – dzięki jej zastosowaniom możemy lepiej zrozumieć procesy fizyczne, biologiczne i ekonomiczne, również te z inherentną strukturą losową.

To właśnie twierdzenie Wolfgang Arendt ukazał z zupełnie nieoczekiwanej perspektywy. Zarówno Pan Profesor jak i ja byliśmy pod wrażeniem tego wyniku. To było trochę tak, jak gdybyśmy patrzyli od lat na kunsztowny fresk, ale dzięki nowemu światłu ujrzeli ukryte pod nim malowidło jeszcze wspanialsze, jak-by jego bardziej misterny oryginał. Byłem zachwycony, bo zrozumiałem coś więcej, głębiej; pozornie przypadkowe fakty z literatury przedmiotu zaczęły tworzyć spójną całość. Ale, jak się okazuje, nie wiedziałem jeszcze, co mnie naprawdę czeka.

Niedługo później bowiem dostałem do ręki artykuł Pana Profesora poświęcony tej tematyce. Pan Profesor mówił w nim jakby: popatrz, twierdzenie Hille'a-Yosidy, to tylko część znacznie większego fresku, który rozciąga się na całe pomieszczenie, nie tylko na tę ścianę, na którą do tej pory patrzyliśmy. Ten większy obraz zawiera ukryte dotąd, a naturalne struktury matematyczne, pozornie odległe od teorii półgrup operatorów; co więcej, samo twierdzenie jest tylko odbiciem znacznie bardziej ogólnych, choć prostych, zasad.

Bo to, proszę Państwa, nieprawda, że matematyka to coś zastanego, stalego: matematyka jest taka, jaką stworzył i jak ją widzi ludzki umysł. Nie chodzi też tylko o to, by wiedzieć jak coś udowodnić, choć to ważne; ważniejsze jest jeszcze to, by wiedzieć co udowodnić, to znaczy unaocznnić, trzeba. Ja przecież patrzyłem na te same kartki papieru zadrukowane tymi samymi formułami, a jednak wspomnianych tu struktur, większego fresku, nie zauważyłem ani nawet ich istnienia nie przeczuwałem. Dziś oczywiście je „widzę”, ale najpierw musiał być ktoś, kto mi otworzył na nie oczy – Pan Profesor Kisiński.

Proszę mi wybaczyć tę być może zbyt osobistą historię, ale jestem przekonany, że uwypukla ona charakterystyczną cechę Profesora, który potrafił każde interesujące go zagadnienie zrozumieć dogłębnie i zobaczyć znacznie więcej i piękniej niż przeciętny pasjonat twierdzeń i dowodów.

Oto inny przykład: znany matematyk z Wrocławia Krzysztof Bogdan, od niedawna członek Polskiej Akademii Nauk, z którym rozmawiałem kilka

dni temu, wspomina recenzję swojej rozprawy habilitacyjnej, poświęconej tak zwanemu ułamkowemu laplasjanowi. Otóż opiniodawca, Profesor Kisyński, zamieścił w niej szereg charakterystyk tego obiektu, o których habilitant, powszechnie szanowany specjalista, nie miał wcześniej pojęcia. Nie dziwi w tym kontekście fakt, że Profesor nieustannie proszony był o recenzje prac doktorskich i habilitacyjnych oraz wniosków profesorskich – przygotował ich ponad 120!

Nikt z tych, którzy się z nim matematycznie zetknęli, nie ma wątpliwości co do wyjątkowości Pana Profesora. Zresztą pomyślmy tylko: od roku 1944, w którym powstał UMCS i można zaczynać mówić o początkach środowiska matematycznego w Lublinie, minęło 78 lat, a poza Profesorem Kisyńskim ani jeden matematyk z naszego miasta nie został zaproszony do elitarnej PAN, a potem także do odnowionej PAU. Do PAU, ale przed wojną, należał tylko prof. Mieczysław Biernacki, który potem był pierwszym kierownikiem katedry matematyki na UMCS.

Ale czy mieliśmy przywilej spotkania tylko z wielkim uczonym? Zawiadając środowisko o śmierci Pana Profesora, napisaliśmy: „uznany matematyk, ale przede wszystkim porządny, normalny człowiek”.

Profesor Jerome Goldstein, amerykański specjalista z teorii półgrup operatorów, jeden z największych, który przecież naszego polskiego tekstu nie znał, pisze do mnie, jakby czytał w moich myślach *Jan was a great mathematician and a great man*.

Profesor Irena Lasiacka, amerykańska matematyk polskiego pochodzenia, laureatka prestiżowego Richard E. Bellman Control Heritage Award, która poznała Pana Profesora jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku w Warszawie, w odpowiedzi na nasz list krzyczy wielkimi literami, z wielkim żarem *To był człowiek ogromnych wartości (...). Matematyk jak również Normalny Człowiek*.

Roberto Triggiani, Amerykanin pochodzenia włoskiego, pisze *we are crushed to learn about the passing of Professor Kisyński* i dodaje *It was too easy for me to have both supreme professional respect and warm affection for such a wonderful person*.

Z listu profesora Wiesława Pleśniaka z PAU, wybitnego polskiego matematyka, przebijają ten sam podwójny smutek: straty wybitnego matematyka i kogoś bliskiego.

Wreszcie Wolfgang Arendt, niemiecki matematyk, o którego twierdzeniu wspominałem wcześniej pisze *I am most sad to hear that Jan Kisyński passed away. We shared some beautiful experiences. He was a wonderful person*.

Przytoczone powyżej słowa nie są typowe dla pożegnań ludzi wielkich, ale przez to jakże od nas dalekich. Nawiasem mówiąc, sam Pan Profesor, zawsze słysząc

cokolwiek o swojej wielkości, wewnątrznie się zżymał. Na przykład, gdy podczas laudacji na jego cześć powiedziałem tu na uczelni, że jest znany na całym świecie, rzucił pod nos: *o, to ten świat zrobił się niepokojąco mały*. Ja również, pisząc niniejsze słowa, nie odnajdywałem w sobie ani odrobiny patosu, żadnej chęci stawiania go na piedestale. Zresztą by się nie dało, nie kłamiąc Jego pamięci.

Nikt się tu nie obrazi, gdy powiem, że – jak przecież każdy z nas – Profesor miał swoje wady, czasami nieznośne. Ale nawet z nimi nie można było go nie lubić. Po prostu znajdowaliśmy przyjemność w przebywaniu z nim, słuchaniu co mówił o matematyce i o wszystkim innym; „polowaliśmy” na rzadką sposobność odprowadzenia go z uczelni do domu, by chwile z nim przedłużyć.

Swoją drogą w pracy nie bywał często, za to często, aż nazbyt często, pracował. Bo matma była jego pasją. Gdy jako młody asystent przyszedłem kiedyś na Politechnikę, by go spotkać, wziął mnie na stronę i rzekł *Panie magistrze, niech pan tu nie przychodzi. Niech pan idzie do domu i udowodni jakieś twierdzenie*. Tej rady, Panie Profesorze, trzymam się do dziś i parę twierdzeń udowodnić mi się udało.

Wszystkich osobistych spotkań z Panem Profesorem opowiedzieć to oczywiście nie zdołamy. Ale proszę porozmawiać po zakończeniu uroczystości z drem Januszem Szusterem, dr Małgorzatą Murat, prof. Tadeuszem Bankiem czy prof. Andrzejem Wacem-Włodarczykiem – usłyszają Państwo te same ciepłe słowa.

Być może to, co powiedziałem wcześniej, pozostawia wrażenie, że Profesor, lubiany i szanowany przez wszystkich, miał w życiu łatwo, lekko i przyjemnie. Nic bardziej mylnego: przeszedł w życiu wiele. Ale nie mnie o tym mówić. Nadmienię tylko, że może z tego powodu rozumiał zmartwienia innych.

Na uczelni, czemu dawał często wyraz w rozmowach, był niedoceniany i niezrozumiany, choć nie wymagał czołobitności, a zwykłego szacunku. Byłem wtedy zbyt młody, by zrozumieć motywy tych, którzy bezinteresownie rzucali mu kłody pod nogi. Dziś myślę, że przede wszystkim nie zdawali sobie sprawy z tego, z kim mają do czynienia. Nie mogli, bo ich wyobraźnia tak wysoko nie sięgała.

Na to wszystko nakładała się matematyczna samotność: niemożność dzielenia się swoimi pasjami z nikim poza bardzo wąskim gronem uczonych, raczej spoza Lublina – stąd korespondencja z wielkimi matematykami zagranicznymi. Proszę sobie wyobrazić, że po latach wyteżonych studiów biegle władają Państwo wymarłym językiem starożytnych Etrusków czy Sumerów i napisali w nim poemat. Kto będzie w stanie docenić jego piękno? Ileż czasu trzeba, by laik poznał, choć znaczenie słów! Ja nawet dziś, po 35 latach studiów, rozumiem, na swoją miarę, góra marną część osiągnięć Profesora.

Jeśli dołożymy do tego ciężką, bardzo ciężką pracę, której nie potrafi docenić nikt, kto nigdy się poważną matmą nie parał... Nieraz widziałem Profesora Kisyńskiego pojawiającego się po dwóch-trzech tygodniach nieobecności na uczelni, z podkrążonymi oczami, ziemistą twarzą, kompletnie wyczerpanego mentalnie i fizycznie. Przynosił wypracowaną przez ten czas recenzję kolejnej habilitacji, z której – jak już wiemy – niejednokrotnie rozumiał więcej niż autor, lub nowy artykuł. Czasami się wtedy odprężał i zaczynał rozmawiać, jedząc przygotowaną przez troskliwą żonę kanapkę, zawsze starannie zapakowaną i równie starannie odpakowywaną. Prosił o herbatę. Rzucił bon moty takie jak *świeże spojrzenie, nieobciążone znajomością rzeczy* albo *procedura została tak znakomicie uproszczona, że przestała służyć do czegokolwiek*. Mówił ucieszony *Napisał do mnie Wojtuś*, mając na myśli swego ucznia, prof. Wojciecha Chojnackiego, i śmiały mu się oczy. Czasem opowiadał z pasją o tym, że dowody autorstwa innego jego ucznia, prof. Jana Rusinka są niezwykle – nie potrafiłyby ich skomponować nikt, kto jak prof. Rusinek nie zajmuje się profesjonalnie szachami. Ale innym razem był nastroszony jak jeź, nieprzystępny, poddenerwowany, bo wpadł tylko po jakieś materiały, a w głowie kłębiły mu się nieuporządkowane jeszcze myśli, które trzeba przecież jakoś spisać. Rozmawiał niechętnie i biegł do domu, by wrócić do przerwanej pracy.

Wszystkich wspomnień przywołać tu nie możemy, a kiedyś trzeba skończyć to wystąpienie. Wróćmy więc do pytania zadanego na wstępie. Co możemy powiedzieć dziś, gdy odszedł Pan Profesor Kisyński?

Przypomnę w tym celu znaną być może niektórym z Państwa historię z końca dziewiętnastego wieku, ze Szkocji. Pewien protestancki pastor przemawiał kiedyś z podwyższenia na tak zwanym spotkaniu przebudzeniowym w biednym miasteczku górniczym. Przeszkadzał mu w tym młody człowiek, który ciągnął go za ubranie i prosił, by pozwolił mu coś powiedzieć. Był nim James M<sup>r</sup> Kendrik, później, jak się okazuje, dość znana postać, autor książki *Seen and Heard*. Jego ojciec zginął w kopalni, a on sam niedawno uwierzył w Pana Jezusa. Nękanie tak pastor w końcu pozwolił mu wejść na podium. Tyle tylko, że młodzieniec nie potrafił wykrztusić z siebie nic więcej niż kilka słów. W zasadzie tylko płakał. Na skutek tego płakać zaczęli wszyscy i wielu tego dnia zwróciło swe serce do Pana, który jest Duchem.

Opowiadając tę historię, abstrahując od kontekstu ewangelicznego, mimo że jest on w niej kluczowy. Chcę jedynie zaznaczyć, że lepiej byłoby gdybym zamiast mówić to wszystko, stanął przed Państwem i zapłakał. Nie robię tego z wielu powodów, chociażby dlatego, że nie stać mnie na płacz publiczny. Chciałbym jednak wyznać, że od soboty, odkąd usłyszałem o śmierci Pana Profesora, płacz prywatny jest moją stałą praktyką.

*Adam Bobrowski*